Rok II. Lwów, wtorek 7. kwietnia 1908. Nr. 369.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

wychodzi codziennie o g. 12 w południe.

Wydawca: Inż. HENRYK MACHALSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:		NA PROWINCYI:	
miesięcznie	50 h	mies. z przes. poczt.	1 K
„ z dostawą do domu	1 K	kwartalnie	3 K
numer pojedynczy	2 h	numer pojedynczy	4 h

NR. TELEFONU: 982.

Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową.

Sprzedaż pojedynczych numerów ul. Krzywa 6.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem.

Redakcya i Administracya Lwów, Podwale 7

Drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 halerzy.

Administracya „Gońca Polskiego“ znajduje się obecnie pod L. 7. przy ul. Frydrychów II. p. Drobna sprzedaż zaś pod L. 11. przy ul. Sienkiewicza (obok cukierni p. Litwińskiego).

Co dzień niesie?

Zdarzyło mi się rozmawiać z pewnym poważnym kupcem lwowskim na temat bojkotu towarów niemieckich, specjalnie pruskich. Na moje zarzuty i żale, że kupiectwo nasze nie zajęło w tej sprawie takiego stanowiska, jakiego się po niem słusznie spodziewać należało, i że wogóle traktuje sprawę tę dość lekko, a w wielu razach nawet wbrew intencyom, które wydały hasło bojkotu. — kupiec ów dał mi cały szereg wyjaśnień, które jako trafne i rozumne, niżej reprodukuję.

Czem jest bojkot? — mówił kupiec. Jest on wyrazem zemsty, wynalezionej przez Irlandczyków, w stosunku do ludzi, których chcą ukarać za jakiś czyn karygodny i szkodliwy. Jest to więc objaw sporadyczny, oderwany, stosujący się w pojedynczych wypadkach, lecz nigdy jako stała zasada. I inaczej być nie może: wszelkie wybuchy gniewu są tylko wybuchami i jak one, przemijają..

Tak już było nieraz z bojkotem towarów niemieckich, gdy z za pruskiego kordonu doszły nas echa pruskiego barbarzyństwa względem Polaków. Obecnie powtarza się to samo...

Rzucono groźne hasło zemsty przeciwko Niemcom, a raczej przeciwko ich przemysłowi, sypią się wezwania do kupców i przemysłowców o zerwanie stosunków z handlem niemieckim, słowem — czyni się formalną burzę protestów, przypominającą niestety „burzę w szklance wody“, o bardzo wątpliwym wyniku tej akcyi dorywczej zemsty, czy też groźby, z której Niemcy pocichu śmiać się muszą.

Taka bowiem akcya nie da się przeprowadzić między jednym a drugim felietonem tego lub owego pisma... Co innego bowiem jest gniew a możność!...

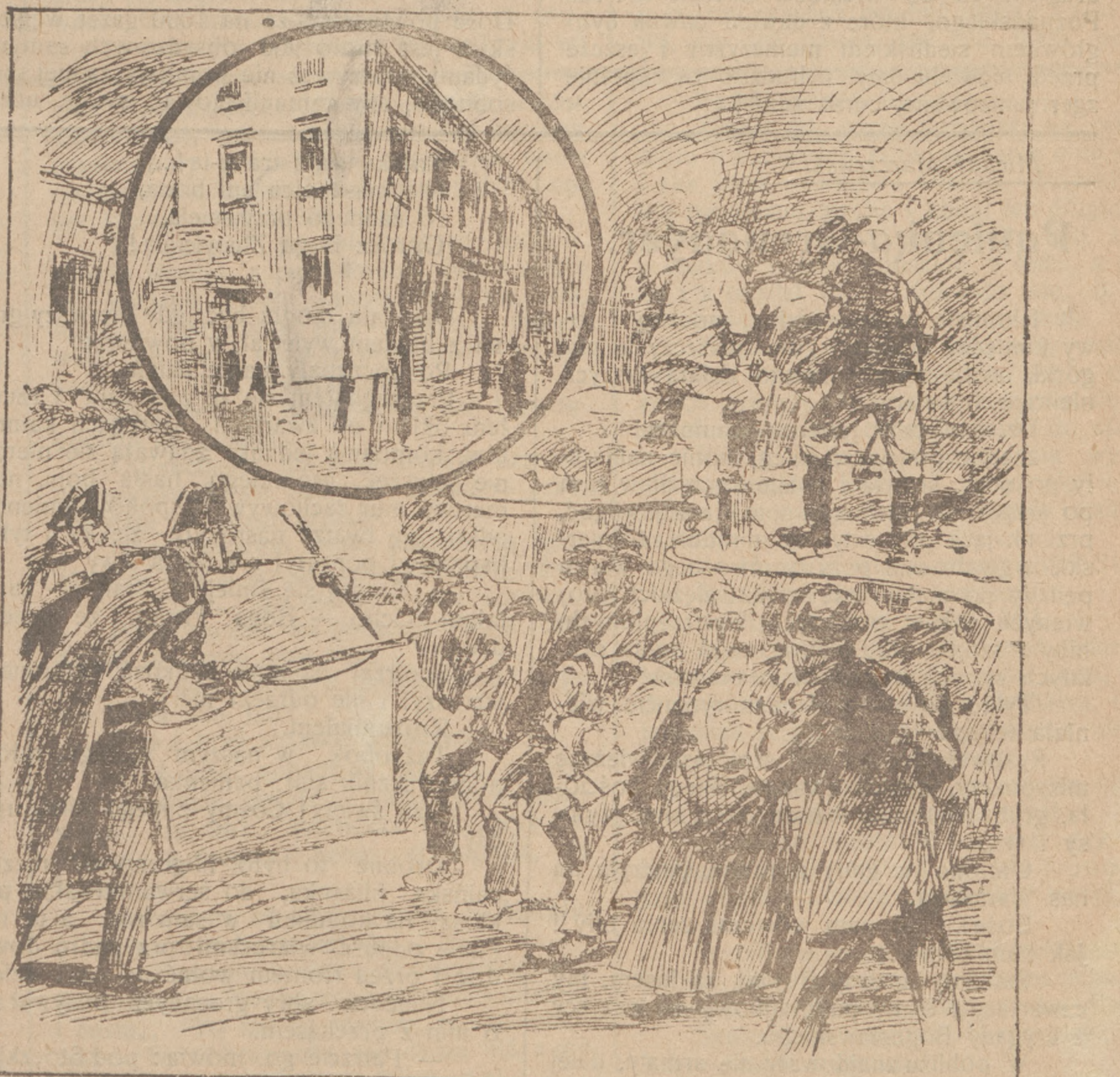
Handel nasz z niemieckim jest połączony tysiącem węzłów, mocno zadzierzgniętych, a z każdego węzła snuje się tysiące nici, na końcu których uczepiony jest *kupiec*, a z nim jego byt i fortuna. A że przeważna większość kupców, nie będących Polakami z pochodzenia i przekonania — w handlu polityki nie uznaje i nie zbyt jest wrażliwa na pruskie prześladowania Polaków, przeto skutek bojkotu jest bardzo wątpliwy.

Nie do kupców więc zwracać się należy, lecz do ogółu polskiego, żeby potrzeby swoje zaspokajał wyrobami przemysłu swojskiego. Do tego jednak potrzeba uświadomienia, że lepiej jest chodzić w samodziałach i płótnach krajowych, niż w niemieckich, a nawet we francuskich i angielskich sajetach.

Tak postępowali Węgrzy, w czasie długotrwałych walk z Niemcami austryackimi, podniósłszy tę zasadę polityczną do potęgi mody, którą przyjęły bez szemrania największe arystokratki węgierskie, szczycąc się tem, że wyzwalając się od cudzoziemczyzny, bogacą jednocześnie przemysł węgierski.

Takiego uświadomienia potrzeba i nam — i to nietylko na czas prześladowań pruskich, lecz na stałe, jako dumne hasło narodowe: *Sami dla siebie!*

Zwierzęca zemsta.



U nas i na świecie.

Stało się zatem, co było do przewidzenia. Parlament niemiecki uchwalił, skierowany głównie przeciw Polakom, haniebny

paragraf językowy

zaprowadzający przymus używania języka niemieckiego na zgromadzeniach publicznych. Pokazało się przytem, do jakiego stopnia zdeprawowane są w Niemczech stronnictwa, które na sztandarze swoim wypisały hasła wolności i postępu, skoro za cenę rozmaitych koncesyi zaparły się tych haseł i zgodnie poparły bezwstydny projekt pruski, będący zaprzeczeniem wszelkich pojęć o wolności, postępie, kulturze nawet. Oprócz Polaków, przymus językowy dotyka także Francuzów i Duńczyków, ale głównie skierowany jest przeciw Polakom, dla których

szczególnie jest niebezpieczny

z powodu swej elastyczności. Wprawdzie bowiem odnosi się on tylko do zgromadzeń publicznych, ale że jedyną instancyą rozstrzygającą w tym wypadku będzie policya pruska, więc pewnem jest, że rozciągnie ona obowiązującą ustawę na wszystkie wogóle zebrania stowarzyszeń polskich i usunie z nich zupełnie język polski. Tak więc, wraz z wywłaszczeniem z ziemi rodzinnej, na rodaków naszych z pod zaboru pruskiego spada nowy cios w postaci wywłaszczenia z mowy ojczystej.

Na szczęście siła żywotna społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim jest tak wielka i niespożyta, że i ten cios potrafi ono przetrzymać, jak już tyle innych przetrzymało. Wpłynie on chyba tylko na spotęgowanie jego poczucia narodowego i

siły odpornej,

która w miarę prześladowań staje się czemraz większą. Świadczy o tem między innymi fakt, omawiany obecnie ze wściekłością w organach hakatyzmu, że w Bygdoszczy, drugiem co do wielkości mieście W. Ks. Poznańskiego, które z dawien dawna było głównem siedliskiem niemczyzny i jeszcze przed niewielu laty uchodziło za zupełnie zgermanizowane, coraz silniej

rozwija się życie polskie.

W czasach ostatnich powstała tam znaczna liczba sklepów polskich, a jednocześnie wiele sklepów niemieckich przeszło do rąk polskich i ruch handlowy polski jest już tak wielki, że opłaciło się wydanie polskiego kalendarza adresowego.

Od roku mają też Polacy w Bydgoszczy dom własny, w którym odbywają posiedzenia stowarzyszeń i zebrania, a tem samem stali się niezależni od podlegających zbyt chętnie wskazówkom władz niemieckich właścicieli lokalów. Wreszcie od stycznia rb. wychodzi w Bydgoszczy dobrze redagowane pismo polskie p. t. „Dziennik bydgoski“. Wszystko to napawa nas tylko otuchą, że o przyszłość polskości w zaborze pruskim możemy być spokojni, kiedy ona ma tak dzielnych obrońców.

Na Węgrzech wynikł świeżo zatarg, który może wywołać

rozłam koalicyi.

Powód dał urzędnik ministeryalny Barkoczy, który będąc świadkiem jakiegoś ślubu, nie chciał podpisać protokołu tego ślubu, jako cywilnego, nie kościelnego. Wywołało to burzę, podobną do tej, jaką wywołała niedawno znana sprawa prof. Wahrmunda w Austryi.

Stronnictwo konstytucyjne i część stronnictwa niezawisłości domaga się ukarania tego urzędnika, natomiast katolicka partya ludowa i część stronnictwa niezawisłości bierze go w obronę i stawia kwestyę zasadniczą. Obecnie odbywają się w tej sprawie narady i rokowania, od których wyniku zależnym jest los rządzącej na Węgrzech koalicyi, której sprawa ta grozi rozbiciem.

Aby zrozumieć rozgłos, nadany tej sprawie przez prasę, trzeba wspomnieć o wybitnej roli, jaką w życiu politycznem Węgier odgrywają

żydzi.

Dość powiedzieć, że na 1000 gazet węgierskich jest około 900 obsadzonych samymi żydami, którzy też nie pomijają żadnej sposobności, aby zamanifestować swoje uczucia wobec katolicyzmu. Wogóle, pojęcie liberalizmu zarówno na Węgrzech, jak i w Austryi, jest identyczne z pojęciem żydostwa. Tu i tam dyrygują całym kierunkiem pseudoliberalnym żydzi, mający na swe usługi najważniejsze organa prasy. *N. Fr. Presse* ma 18 żydowskich redaktorów, *N. W. Tagblatt* 20, *W. Tagblatt* 12. Wogóle dwie trzecie wszystkich redaktorów we Wiedniu są żydzi, a z 3.600 gazet, wychodzących w Austryi, aż 3.488 jest w rękach żydowskich. Oczywiście, że w tem zżydzeniu prasy na pierwszem miejscu figuruje

prasa socyalistyczna

która, jak wogóle cały ruch socyalistyczny, znajduje się pod komendą żydowską. Tem też tylko tłómaczą się wszystkie ataki także i naszych „polskich“ organów socyalistycznych na katolicyzm, religię, a nawet narodowość, ataki mające na celu zupełne skosmopolityzowanie wodzonych na pasku szerokich mas, w gruncie rzeczy wrogich żydom, jako faktycznym kapitalistom, a niereagujących przeciw ich komendzie jedynie dlatego, że zupełnie o niej nie wiedzą. Zapytajcie n. p. pierwszego lepszego „towarzysza“ ze Lwowa o redaktora „*Głosu*“, a rzuci ci nazwisko Hudeca, który jednak taki ma akurat głos w „*Głosie*“, jak sam „*Głos*“ w życiu publicznem Lwowa. Hudec, to tylko parawan, za którym rozpiera się na szpaltach „organu polskiej partyi socyalistycznej“

żydowski redaktor

Czaki i opluwa wszystko, co ma jakikolwiek bodaj związek z etyką chrześcijańską i dążnościami narodowemi. Jakie to smutne i jakie wstrętne, każdy zrozumie; nie mogą tylko jeszcze tego zrozumieć ogłupiane systematycznie i okłamywane przez swoich żydowskich i zżydziałych prowodyrów masy naszych rzekomych socyalistów. Ale i to przyjdzie, a wtedy nie chciałbym być w skórze Hudeców i im podobnych.

Michał Marczewski.

Panienka-Grenadyer.

Błotnista to była nizina, moczary i rowy i między bagnami gołe piaszczyste pagórki, na których rozsiano działa naszych nielicznych bateryi.

Dzień wypadł jesienny, chmurny.

Ziemię pokrywał śnieg, konie nabierały go pod kopyta i ludzie grzęźli w nim po kostki, w powietrzu unosiła się wilgoć, przenikająca pod sztywny mundur żołnierski, a gwałtowne porywy mroźnego wiatru pędziły po niebie całe stada ciężkich ołowianych chmur, podartych, wystrzępionych, niby resztki z pod plutonowego ognia ocalałych starych bojowych sztandarów.

Tylko po za nami na horyzoncie widniała wstęga światła.

Rysowały się na niej szpiczaste wieżyce misyonarzy, kopuła ewangielickiego kościoła, gruba zamkowa baszta, szczytowe gzymsy fary...

Otulona w gmły poranne, patrzyła na nas Warszawa.

Boże!... Jak nam wówczas serca biły!! Jak nam biły!...

Staliśmy w drugiej linii, za lasem, my czwartacy i ósmy pułk liniowy — wszyscy z brygady Bogusławskiego.

W pobliżu znajdowały się armaty, dalej strzelcy Czyżewskiego; Żymirski z ludźmi Rolanda zajmował olszynkę, na olszynkę parli moskale.

Ręce człowiekowi dygotały niby w febrze na idok wybijanych z pozycyi towarzyszów, ale...

Trąbka trąbi tra-ta-ta!...
Nie masz ojca ani brata,
Ni żadnego przyjaciela,
Oprócz Boga Zbawiciela!

*

Dziesiąta mogła być, gdy pierwszy granat z hukiem wyleciał w powietrze.

Rozpoczynały nasze działa.

Przeżegnałem się ze zwyczaju i rzuciłem okiem po zwartych szeregach kamratów, kompania jednak zdawała się niemal nie słyszeć gromkiego hasła boju, niby martwy mur zachowywała spokój kamienny, tylko się twarze nasrożyły zlekka i tylko kapralowi poruszył się jakoś siwy wąs

— Czemu się śmiejesz, stary — zapytałem cicho — Boga kusisz, ze śmierci drwisz?

Spojrzał na mnie z ukosa, ramionami wzruszył i nie odrzekł nic.

Zrozumiałem.

Tuż obok, w naszym szeregu, młody podporucznik stał: panienka.

Jezu święty! Cośmy z niego mieli uciechy!...

Drobne to było, filigranowe, niczem chińska filiżanka, do serwantki albo pod klosz na kominku w sam raz, a tu mu, Panie odpuść, wiarusami przypadło dowodzić i przed frontem wołać na nas: dzieci.

Niejeden siwy grenadyer odzywał się o nim z przekąsem.

— Patrzcie go, mówią: pod Stoczkiem armaty na Gejsmarze zdobywał!.. He, he!.. Może i tak! Ale niechby on z nami wpierwej pod Moskwę szedł! Berezynę obaczył, zanim go tu do nasj odkomenderowano!...

A takich było wielu. Ledwo pierwsze zagrzmiały strzały, już zbiegał się do nas lud ze wszystkich stron i z kraju i z zagranicy. I stary napoleoński weteran, który gdzieś po opłotkach na laurach spoczywał, fajkę ćmił, piosenki wojenne nucił i wnukom o cesarzu swym gwarzył, i ten wydobywał zdobyte pod Jeną lub Saragosą ordery, na strzępkach munduru je zawieszał i o przyjęcie do pułku jak o łaskę prosił.

Przyjmowaliśmy też i młódź, dla której proch zdawał się być makiem w dzieżce w matczynej kuchni i której po raz to pierwszy może w życiu karabin do ramienia wypadało przykładać. Lecz ta młódź toby dęby łacno chyba rwała: Każdy z nich miał kark plecy i ramiona, a garść!.. W takąby i armatę niby pistolet mógł brać!

Nie to, nie to, co podporucznikowska dłoń! Czysta, biała, wypieszczona, z różowemi paznokietkami; ot, rączka do klawicymbału, aby nią na nim jakiej postęsknionej dziewicy wygrywać piosnki o Filonie.

Samem nieraz w głowę zachodził, jak on w takiej drobnej, dziecinnej niemal piąstce szablę swoją trzyma? A miał pałasisko wielkie, ciężkie, długie, które mu się po ziemi włóczyło, obijając z brzękiem o pięty.

I to było też śmieszne i z tego śmiano się również. Bo i jakże inaczej?

W wojsku ma wszystko swoją miarę; guzik do munduru, mundur do orderu, a order za męstwo. Zębami w boju sztandar wziąć — to sztuka! Ale na to zęby trzeba mocne mieć! Podporucznik nasz jednakże ząbki miał coś słabe, gdyż niemi tylko wargę gryzł.

Jakbym go widział dziś przed nami, gdy ten i ów się uśmiecha. Idzie wzdłuż szeregów, patrzy niby a niby nie widzi i tylko pierś naprzód wypina, wyciąga się i pręży,

Nowe ciężary.

(Podrożenie cukru i podwyższenie podatku od cukru.)

Jak już donieśliśmy, cukier podrożał o 6 halerzy na kilogramie. Jest to prawdopodobnie pierwsza odpowiedź producentów cukru na zapowiedzianą zniżkę podatku cukrowego — pierwsza, ale nie ostatnia. Cukier musi jeszcze podrożeć, zanim ustawa o obniżeniu podatku, znajdująca się obecnie w Izbie panów, wejdzie w życie. W ten sposób będą mogli producenci następnie powrócić do obecnej ceny, co im pozwoli wyzyskać zniżkę podatkową... dla siebie.

Taki jest rezultat forsowanego głównie przez socyalistów obniżenia podatku, którego uchwalenie było tylko jednym dowodem więcej, że w sprawach ekonomicznych Izba posłów rządzi się prawie wyłącznie sentymentem, jeżeli nie względami na popularność. Zniżka podatkowa, która miała przypaść w udziale szerokiemu ogółowi konsumentów, wpłynie głównie, jeżeli nie wyłącznie, do kas kartelu cukrowego. Jest to zresztą znanym faktem w polityce ekonomicznej, że agitacya socyalistyczna przynosi zwykle korzyść... kapitalistom.

Przyszłe obniżenie podatku cukrowego, połączone z nagłym wzrostem wydatków na pensye oficerskie, na nowe działa i z koniecznością wielkich inwestycyi kolejowych, zmusiło rząd do wyszukania nowych źródeł dochodów państwowych. W tym celu wniósł minister skarbu projekt podwyżki podatku od wódki, o 50 i 54 K od hektolitra spirytusu, tak, że cały podatek wynosić będzie 140 i 154 K. Popularnie licząc, podwyżka wyniesie około 2 halerzy od kieliszka wódki! Dochód stąd płynący będzie użyty dla zaspokojenia potrzeb państwowych wyżej wzmiankowanych i potrzeb krajowych.

Jedno i drugie więc, tak „zniżenie“ podatku od cukru, jak i podwyższenie od wódki, odbije się dotkliwie na kieszeni najbiedniejszych warstw ludności.

Z pamiętnika aresztantki.

Przed kilku laty ogromne wrażenie wywołała w Niemczech, a także i za granicą książka p. tyt. „Z więzienia“, którą napisał dr. Hans Lenss, skazany wówczas na trzy lata więzienia za krzywoprzysięstwo, popełnione z całą świadomością dla ratowania kobiety z miłosnej sprawy. Obecnie podobną książkę napisała kobieta, Marya Hoff, p. t. „Trzy lata w więzieniu dla kobiet“. Autorkę skazano równie za krzywoprzysięstwo, w jakiej atoli sprawie, niewiadomo.

Do więzienia dostała się Marya Hoff pewnego dnia lipcowego 1901 r.; cały czas kary przepędziła w osobnej celi. Wstawała o godz. 5 rano, spożywała po uprzątnięciu celi śniadanie, a potem szła do pracy, która trwała do południa, z półgodzinną przerwą na przechadzkę po dziedzińcu. O godzinie 12 obiad, potem praca do późnego wieczora, a wreszcie o godz. 10 w nocy regulaminowy sen.

Przechadzka więźniów jest dziwolągiem hygienicznym i psychologicznym. Aresztantki muszą iść kołem, jak w kieracie, żadnej nie wolno ani stanąć, ani pójść w innym kierunku, żadnej wreszcie nie wolno ani jednego słowa przemówić. Milczący deptak. To, co ma pokrzepić ciało i umysł, staje się torturą. Ale mimo surowego przepisu i drakońskich kar, przechadzające się aresztantki rozmawiają. Wszakże milczą przez całą dobę, równie w celi, jak podczas pracy.

Autorka została podczas swojego pobytu w więzieniu dwa razy ukarana za przekroczenie regulaminu. Raz za to, że dała swój chleb innej aresztantce, skutkiem czego obie powędrowały na jeden dzień do „ścisłego aresztu“, małych cel, posiadających tylko putnię z wodą karbolową. Po raz drugi ukarano autorkę „ścisłem odosobnieniem“ za pisanie listów. Szykanowano ją przytem tak dotkliwie, że Hoffowa nie chciała wychodzić na przechadzkę, nawet kiedy jej zagrożono przymusowem wyprowadzeniem. Inspektor ukarał ją za to znowu 13-dniowym aresztem. Po odbyciu tej kary wniosła zażalenie, po którem ją uwolniono od przechadzek, a w kilka tygodni później wypuszczono z więzienia.

Częste kary spadają na aresztantki z powodu „nie wystarczającej“ pracy. Karę stanowi odebranie chleba, albo więzienie ściśle. Zarząd więzienia żąda wcale wysokiego wyniku pracy, nie uwzględniając sił fizycznych każdej pracownicy, Aresztantka, ukarana odebraniem chleba, a później aresztem, staje się jeszcze słabszą i niezdolniejszą do pracy, ale zarząd więzienia wcale nie uwzględnia podobnych okoliczności. Skostniały biurokratyzm bezwiednie często znęca się nad nieszczęsnemi istotami, wszczepiając w nie głuchą nienawiść do ludzi i do wszelkiego porządku społecznego. Umacnia w nich już istniejące popędy zbrodnicze, a nawet wywołuje nowe.

Tutaj powinien rozstrzygać lekarz, jak zresztą w licznych innych wypadkach, które przytacza autorka. Oto np. odziano w kaftan bezpieczeństwa jakąś młodą aresztantkę, która się w celi obnażyła i nawet pod groźbą siły nie chciała się ubrać. Dlaczego nie wezwano lekarza? Działo się podobnie z innemi aresztantkami, które karano surowo, aż wreszcie okazało się, że są umysłowo chore.

Wreszcie autorka opuszcza więzienie i wraca do miasta, w którem przebywała cały szereg lat, miała swoje towarzystwo i swoje zajęcie. Ale gmina już inaczej na nią spoglądała teraz. Była aresztantka nie miała przynależności do gminy, która z obawy, że osoba ta, nie znalazłszy zajęcia, może stać się ciężarem dla funduszów miejskich, postanowiła nieszczęsną wydalić, jak u nas mówią, „wyszupasować“. Dopiero poręczenie jednego z obywateli zapobiegło temu.

Co się dzieje dalej z autorką, niewiadomo. Ale chodzi tutaj wyłącznie o pobyt w więzieniu. Przeczytawszy jej książkę, zapytujemy, czy więzienie ma być „zakładem karnym“, czy „poprawy“, czy „zemsty“? Słyszymy na ten temat szumne frazesy, którym urąga rzeczywistość. Nie chodzi o sentymentalizm, o fałszywą humanitarność, ale o to, czy więzień ma być wyjęty z pod prawa, czy też należą mu się także pewne

---

radby najwyższemu spojrzeć do oczów z góry, a nam się zdaje jeszcze, że on się korkami sztukuje. Taki to już los.

Onby się na dyabła rogatego rzucił, a myśmy tylko pomrugiwali na siebie oczami; ząbły, zabłocony, w poszarpanym mundurze stawał w naszym szeregu, a wszyscy byli przekonani, że go perfumami czuć.

Dano mu też przezwisko: „panienka“ i tak się już z tem przezwiskiem w oczach naszych zrósł.

. . . .

Olszynka przechodziła z rąk do rąk, Zymirski padł i na nas przyszedł wreszcie czas. Huk armat tak ogłuszał wszystkich, żeśmy prawie nie słyszeli komendy, przeczuliśmy ją jednak w tej chwili i jak jeden mąż ruszyliśmy naprzód żwawo. Przed nami z Czyżewskim lecieli już strzelcy.

Pochyliłem się nieco, wysunąłem głowę po za linię szeregu i rzuciłem ciekawym wzrokiem na „panienkę“.

Podporucznik szedł niby w tan. Oczy mu gorzały niezwykłym żarem, twarz przybrała wyraz dziwnie natchniony, a długa szabla w ręku połyskiwała groźnie, niczem ognisty miecz Archanioła.

— Ha no — pomyślałem sobie — jak tak, to ja ci już zginąć nie pozwolę; pierwej niech mnie.

Żal mi się zrobiło chłopczyny. Matkę zostawił, ojca, siostrę, a może i narzeczoną, by tu w tych piaskach i błotach za świętą sprawę złożyć kości.

Przypomniała mi się własna twarda dola żołnierska i mocniej ścisnąłem w dłoni stalową lufę karabinu.

— Panie, bądź wola Twoja!

Tymczasem wchodziliśmy w krąg ognia. Kule świszczały nam już koło uszów złowieszczo, po nad głowami z wyciem przelatywały granaty, ze wszystkich stron owiewał nas kłębami niebieskawy dym i nasze szeregi poczęły się rwać.

To „wiara“ poczuła zapach prochu. Chwila jeszcze a pędzilibyśmy przed siebie jak wściekli. Nagle zakotłowało się coś, trzasło, jakiś słup niby suchego śniegu wzbił się przed nami w powietrzu i posłyszałem krótkie, suche: „pal“!

Złożyłem się w mgnieniu oka i pociągnąłem za cyngiel...

Odrzuciliśmy ich niby szczapy drzewa, ale szykowali się znowuż. Stawiano przeciw nam na szosie armaty...

Obwiązywałem sobie skaleczoną rękę, gdy nasz kapral zrzędzić zaczął niemalgłośno.

— Tfuj!... do czarta z taką sprawą...

Podporucznik się gorączkował, a jemu drygał gniewnie siwy wąs.

— Djabli nadali z dzieciuchami!... Jemu bitwa niby bal!

Pluł i brwi stroszył krzaczaste.

— A jużci, zobaczysz bal, jak ci piasku przyjdzie ugryźć... kulkę pod żebro wziąć... He, he!.. Wtenczas i krzyżyk dadzą, ale z drewna i bębny ci zagrają, ale inaczej...

Milczałem, bo mnie gorycz rozbierała, a on mamrotał jeszcze zły.

— Skaranie boskie... skaranie boskie!... Subordynacyę trzeba znać, komendy słuchać i basta... To nie do mazura, nie do obertasa:.. Tu ci hołupców nie dadzą bić, a my też z tobą tańczyć nie będziem, nie!...

Myślałem, że mu zamknę wreszcie gębę, umilkł jednak, bo puszczano na nas kirasyerów.

Pędzili niczem huragan.

Ziemia jak gdyby kołysała się od tętentu ich ciężkich koni, wicher z nimi szedł i ryk jakiś i chrzęst i wrzask. Połyskiwały ich miedziane blachy i klingi ich długich rapirów i mur się na nas walił, taki żywy, z karków i łbów końskich, z ludzi, z żelaza i z miedzi mur. Zdawało się, iż nas przewrócą i zdepcą na drobny mak.

Pierścień strzelców pękł niby wątła obrączka, ósmy pułk formował się w czworobok, ryknęły kartaczownice, sypnął się grad morderczych kul, bębny zawyły do ataku...

Patrzę, a nasz podporucznik wyrywa się z szeregów; podnosi swoje wielkie szablisko i w najgorętszy wir ognia wali jak szalony.

— Naprzód wiara, za mną dzieci!..

Runęliśmy za nim wszyscy.

— Kto w Boga wierzy, bij!..

A on już ich dopadł i prał. Pierwszy kirasyer wyleciał z siodła jak snop, pod drugim koń się przewalił z kwitkiem, trzeci jednakże ściągnął powoda, wsparł się na strzemieniu, pochylił do cięcia...

Widziałem tylko wielkie kopyta, olbrzymie rozdęte chrapy i szybki błysk...

Chciałem nadstawić bagnetu, gdy stary kapral skoczył naprzód jak lew i owo straszne cięcie za naszą „panienkę“ wziął.

*

Wybiliśmy ich do nogi. Pułkownikaśmy im gołemi zabrali rękami... I nastała cicha, głucha noc. Pułki nasze ściągano ku Pradze.

Szukaliśmy rannych towarzyszy... Żałośnie trąbili trębacze...

A nasz podporucznik-panienka, niby proste żołnierzysko, niósł starego kaprala na swych plecach za okopy.

względy. Wykonywanie kary nie powinno być mszczeniem się. A na zarzut, że rzecz dzieje się w Niemczech, odpowiadamy, że poza niektórymi szczegółami, we wszystkich więzieniach panuje ten sam „duch". Wstrzymajcie uśmiech ironii z powodu tego wyrazu w takim związku.

Instytucya przeciwgruźlicza we Lwowie.

Założone przed kilku laty Towarzystwo walki z gruźlicą, zebrawszy odpowiedni fundusz, przystąpiło do urządzenia we Lwowie „Opieki nad chorymi gruźlicznymi" na wzór francskich „dispensaires". Celem tej „opieki" będzie zapobieganie szerzeniu się gruźlicy przez wykrywanie i ograniczanie ognisk zarazy, przez wynajdywanie początkowych, najlepiej nadających się do leczenia, okresów tej choroby, przez pouczanie i pomoc udzielaną chorym i ich rodzinom. Chory, zgłaszający się do „Opieki", będzie najdokładniej zbadany przez lekarza, następnie wyszkolona opiekunka chorych udaje się do mieszkania chorego, bada warunki hygieniczne mieszkania, bada stosunki majątkowe, zarobkowe i rodzinne chorego i zdaje z tego sprawę lekarzowi; lekarz na podstawie tego sprawozdania daje opiekunce odpowiednie wskazówki, opiekunka zaś obowiązaną będzie co pewien czas odwiedzać chorego, odpowiednio pouczać jego i otoczenie, a zarazem czuwać nad wypełnianiem poleceń lekarskich. Prócz samego chorego lekarz „Opieki" bada całą jego rodzinę, a to w celu wykrycia wczesnych form choroby i przekonania rodziny o konieczności wczesnego leczenia.

Właściwem leczeniem „Opieka" ,na razie przynajmniej, zajmować się nie będzie. Pragnie ona nawiązać stosunki z sekcyą miejską dobroczynności publicznej, z Kasami chorych i z innemi Towarzystwami dobroczynnemi, aby za ich pośrednictwem przyjść chorym z pomocą materyalną.

„Opieka" mieścić się będzie w domu narożnym przy zbiegu ulic Batorego i Pańskiej (stacya kolei elektrycznej), na parterze, z wejściem od ulicy Pańskiej l. 10. Zacznie ona funkcyonować już w najbliższym czasie, a drobne ogłoszenia zawiadomią o dniu otwarcia opieki i o dniach i godzinach przyjęć.

Urządzeniem lokalu „Opieki" zajął się znany architekt lwowski prof. Lewiński.

Sprawa walki z gruźlicą jest specyalnie dla nas ważną, Kraków bowiem i Lwów ze wszystkich miast europejskich wykazują najwyższą śmiertelność z powodu gruźlicy.

Inicyatorom więc tej tak ważnej instytucyi należy się ze strony społeczeństwa naszego prawdziwa wdzięczność.

Dramat rodzinny.

Strasznym epilogiem zakończył się przed kilku dniami dramat rodzinny w Urbino. Bogaty właściciel rzeźni Lincoln Ceccaroli został zastrzelony przez narzeczonego swej córki, Adolfa Becilli.

Lincoln był ojcem dwóch córek, dziewiętnastoletniej Teresy i czternastoletniej Anny. Prowadził dawniej życie hulaszcze i rozpustnicze, później jednak zmienił się zupełnie, zajął się gospodarstwem i uchodził powszechnie za uczciwego i statecznego obywatela. Ale jego rozwydrzona natura zwróciła się na pole strasznych zbrodni. Lincoln zakochał się w obu swych córkach, z których Teresa miała wtedy 13, a Anna zaledwie 9 lat. Starsza zrozumiała propozycyę wyrodnego ojca i broniła się skutecznie. Młodsza stała się ofiarą jego namiętności.

Gdy się w ostatnich czasach Teresa zaręczyła z młodym Becilli, Lincoln ponowił swe usiłowania. Używał do tego namów, gróźb i razów. Teresa wezwała wtedy matkę na pomoc i wówczas dowiedziały się obie także o tragedyi nieszczęśliwej Anny.

Wtajemniczyły następnie w całą historyę Becillego i prosiły o ochronę przed nieludzkim ojcem. Nazajutrz Lincoln, upatrzywszy dogodną sposobność, rzucił się na Annę, siedzącą samotnie w pokoju. Córka uciekła z krzykiem do najbliższego pokoju i zamknęła drzwi. Gdy Lincoln usiłował je wyłamać, nadbiegł Becilli i strzałem z rewolweru położył go trupem. Becilli dostał przytem takiego wstrząśnienia nerwów, że leży obecnie w szpitalu.

Nowy bicz na Polaków.

Parlament niemiecki uchwalił w sobotę haniebny paragraf 7, czyli t. zw. językowy, nowej ustawy o stowarzyszeniach. Paragraf ten wyklucza języki nieniemieckie — a więc w pierwszym rzędzie polski — ze zgromadzeń i stowarzyszeń publicznych, pozwalając na ich używanie tylko w wyjątkowych, a otwierających szerokie pole samowoli władz, wypadkach.

Podczas obrad nad tym paragrafem przemawiali z posłów polskich pp. Brejski, Korfanty i ks. Radziwiłł, protestując przeciw temu nowemu gwałtowi pruskiemu.

Ks. Radziwiłł rzekł w końcu swej mowy, zwracając się ku ławom rządowym: Pruscy królowie przyrzekli, że będą szanowali polską narodowość, a wy teraz przy pomocy stronnictwa, które się nazywa liberalnem, chcecie przez policyjne zarządzenia, przez zakaz używania języka ojczystego, uczynić dla tego narodu iluzorycznemi prawa stowarzyszania i zgromadzania się. W przyszłości nie będzie miał rząd pociechy z kompromisu. (Oklaski u Polaków).

Haniebny paragraf uchwalono 200 głosami przeciw 179. Wynik ten powitali służalcy rządowi burzliwymi oklaskami.

Oklaskiwali własną hańbę, którą się okryli w oczach świata cywilizowanego.

W letargu pogrzebany.

O przejmującym grozą wypadku donoszą ze wsi Maćkowice pod Przemyślem. Zmarł tam 70-letni zamożny włościanin Tymko Nowak i w dniu 1 bm. odbył się jego pogrzeb. Po spuszczeniu trumny do grobu, rozeszli się uczestnicy pogrzebu do domu, a pozostał tylko grabarz, który trumnę zasypywał ziemią. Gdy już grób był prawie cały zasypany, posłyszał nagle grabarz jakiś głuchy łomot w trumnie potęgujący się coraz więcej. Przerażony, porzucił rydel i pobiegł do księdza ruskiego z zawiadomieniem o tem, co zaszło. Ksiądz kazał mu pójść z tem do żandarmów.

Grabarz pospieszył więc w stronę posterunku żandarmeryi, a spotkawszy po drodze strażnika skarbowego, opowiedział mu o wypadku. Wtedy strażnik polecił mu, aby z nim razem poszedł na cmentarz. Tak się też stało. Przyszedłszy na cmentarz, odgrzebali mogiłę, wydobyli trumnę, otwarli ją — a wtedy oczom ich przedstawił się straszny widok.

Nieboszczyk, ciepły jeszcze, leżał w trumnie na boku, a twarz porysowana boleścią konania, ręce powykrzywiane w skurczu śmiertelnym, całe ubranie na strzępki potargane, a ciało poździerane i kawałkami powygryzane — świadczyły, że człowiek ten, w stanie pozornej śmierci pochowany w trumnie ożył, aby umrzeć ponownie okropną śmiercią z uduszenia. Jakie szalone męki przechodził, o tem mówił najlepiej stan, w jakim go znaleziono.

Dodać trzeba dla ilustracyi wypadku, że na pogrzeb nieszczęśliwca zezwolił... oglądacz bydła, pełniący w tej wsi dodatkowo także czynność oglądacza zwłok ludzkich.

Z Wiednia.

(Obrady nad kontyngentem rekruta. — Koło polskie i ministerstwo robót publicznych).

Parlament obradował w sobotę w dalszym ciągu nad wnioskiem nagłym w sprawie kontyngentu rekruta. Między innymi przemawiał poseł ruski Okuniewski, który nie omieszkał naturalnie powtórzyć ośpiewanej już aż do znudzenia przez posłów ruskiej śpiewki o rzekomym ucisku Rusinów w Galicyi, a zakończył tem, że stronnictwo mowcy głosować będzie przeciw wnioskowi. Przemawiał następnie minister obrony krajowej, Georgi, który podkreślił z naciskiem, że wprowadzenie dwuletniej służby wojskowej możliwe będzie tylko wraz z równoczesnem podwyższeniem obecnego kontyngentu rekruta ze 120.000 na 180.000 ludzi. Tak samo i zniesienie obu ostatnich ćwiczeń wojskowych możliwem będzie w razie odpowiedniego podwyższenia stanu wojennego obrony krajowej w pokoju. Dalej oświadczył, że minister wojny polecił wszystkim komendantom pułków, ażeby wojskowe muzyki unikały robienia jakiejkolwiek konkurencyi muzykom cywilnym, a w końcu prosił o szybkie załatwienie przedłożenia o kontyngencie rekrutów, ponieważ z odłożenia terminu poboru wynikłaby dotkliwa szkoda dla poszczególnych popisowych, a zarazem dla rodzin rolników.

*

Koło polskie przeprowadziło na sobotniem posiedzeniu obszerną dyskusyę nad organizacyą ministerstwa robót publicznych. W rezultacie uchwalono duże rezolucye. Pierwsza z nich, wniesiona przez posła Stwiertnię, opiewa: 1) Przedłożenie rządowe co do utworzenia ministerstwa robót publicznych uznaje Koło polskie za niedostateczne, gdyż nie uwzględnia postulatu krajowego co do zorganizowania wszystkich agend, odnoszących się do robót wodnych w jednem ministerstwie. 2) Zaleca się mowcom Koła, by stanowczo domagali się przydzielenia agend, dotyczących zabudowania potoków górskich, budowy kanałów i przemysłu budowlanego, do ministerstwa robót publicznych. 3) Mowcy Koła mają domagać się utworzenia dwóch sekcyj technicznych w ministerstwie robót: a) sekcyi dla budowli nadziemnych, dróg i mostów, b) sekcyi dla regulacyi rzek i budowania kanałów.

Druga rezolucya, wniesiona przez hr. W. Dzieduszyckiego, ma treść następującą: Koło odracza postanowienie w sprawie organizacyi ministerstwa robót publicznych, a poleca prezydyum układy z rządem i stronnictwami, celem: a) zabezpieczenia budowy kanałów; b) skoncentrowania wszystkich agend wodnych w ministerstwie robót publicznych; c) stworzenia krajowej dyrekcyi dla wszystkich budowli wodnych w Galicyi. Prezydyum zda sprawę Kołu z wyników tych rokowań, poczem Koło poweźmie decyzyę w sprawie organizacyi ministerstwa dla robót publicznych.

Samobójstwo na inspekcyi policyjnej.

W nocy z soboty na niedzielę po godzinie jedenastej urządził

brutalny napad

na mieszkanie p. Łukowskiego adjunkta policyi, mieszkającego przy ul. Świętokrzyskiej l. 9 a, Jan Bernardyniewicz, czterdziestoletni zarobnik dzienny, związany ze służącą państwa Łukowskich nierozerwalnymi węzłami miłości. Wpadłszy po pijanemu do kuchni, wszczął z panią Łukowską, brutalną awanturę za to, że pani Łukowska, kazała

mu ustąpić z mieszkania, a kiedy pani Łukowska, chciała go usunąć, rzucił się na nią z dobytym nożem. Na krzyk przerażonej tem kobiety pospieszyli jej z pomocą obecni w mieszkaniu synowie, którym przy pomocy innych jeszcze ludzi zaalarmowanych krzykiem kobiety

udało się ująć napastnika.

Gdy, zawezwana przez pewnego artylerzystę, policya przybyła na pomoc,

uwięziony chciał się pchnąć nożem,

by nie wpaść w ręce władzy. Przeszkodzono mu w spełnieniu tego zamiaru, poczem policya zabrała go wraz ze służącą Andzią, której był kochankiem,

na inspekcyę policyi.

Tu podał swe nazwisko i oświadczył, iż zamiarem jego było tylko odwiedzić swą kochankę, nie przyznał się natomiast do awantury urządzonej pani Łukowskiej.

Po przesłuchaniu sługi, która zeznania jego, dotyczące ich stosunku, potwierdziła, uwięziono oboje i narazie, zanim zjawili się żołnierze, którzy mieli ich odprowadzić do aresztów policyjnych

Bernardyniewicza osadzono w osobnym pokoju,

by nie porozumiewał się ze swą kochanką.

Gdy w kilka chwil potem wszedł do pokoju żołnierz, który miał go odprowadzić do aresztu, znalazł **Bernardyniewicza, wiszącego u kraty okna na pasku.**

Pomimo wszelkich środków zastosowanych przez komisarza inspekcyjnego i lekarza pogotowia stacyi ratunkowej, nie udało się przyprowadzić go do życia.

Po spisaniu protokołu z tego wypadku odstawiono zwłoki do zakładu medycyny sądowej, celem przeprowadzenia obdukcyi.

Krwawa demonstracya i strejk w Rzymie.

We czwartek ubiegły, jak doniosły już depesze, odbywał się w Rzymie pogrzeb murarza, nazwiskiem Premucci, który umarł skutkiem nieszczęśliwego wypadku. W pochodzie żałobnym wzięło udział około 1500 osób. Pochód ruszył ze szpitala Consulzione, a robotnicy chcieli iść przez „via del Plebiscito“ i „Piazza Veneria“ wbrew rozporządzeniom policyi.

Na „piazza del Gesu“ pochód spotkał się z kompanią piechoty, która mu zagroziła drogę. Obok stał oddział policyi, liczący około 50 ludzi. Robotnicy zaczęli wznosić okrzyki: „Precz z policyą!“ Precz z mieszczaństwem! Niech żyje republika!

Gdy komisarz policyi usiłował uspokoić wzburzony tłum, nadjechały dwa wozy z cegłami. Tłum rzucił się na nie, zabrał cegły w jednej chwili i zaczął niemi obrzucać policyę i wojsko.

Pod gradem cegieł padło na bruk kilku żołnierzy i policyantów skutkiem ran. Dwóch żołnierzy musiano odwieść do szpitala. Nagle padł strzał, jak twierdzi policya, z tłumu, jak twierdzą znów robotnicy z szeregów policyi. Tłum chciał się rzucić na policyę, która dała do niego strzały. Demonstranci pierzchnęli, pozostawiając na placu 3 zabitych i 12 rannych, których odwieziono do szpitala. Po stronie policyi jest 21 rannych. Z trzech zabitych robotników dwaj byli anarchistami. Z rannych grozi jednemu śmierć, reszta ma się lepiej.

Izba robotnicza uchwaliła, jako protest przeciwko użyciu wojska dla odparcia demonstrantów, powszechny strejk w całych Włoszech. Rzeczywiście w Rzymie zastrejkowali wszyscy robotnicy, wobec czego rząd zarządził nadzwyczajne środki ostrożności. **Które** nadały miastu wygląd miasta oblężonego. Na wszystkich ważniejszych placach i ulicach — jak brzmią depesze z soboty — biwakuje wojsko, wozy pocztowe kursują pod osłoną żołnierzy, przed gmachami rządowymi i bankami również pełnią pogotowie oddziały wojska. Ruch tramwajowy został z powodu strejku zupełnie wstrzymany, a sklepy są w prawdzie otwarte, ale wystawy pozamykane z obawy przed napadem ze strony strejkujących.

Równocześnie komitet strejkowy rzymski rozesłał do innych miast odezwy z wezwaniem, aby robotnicy ich przyłączyli się do strejku. Jest jednak rzeczą wątpliwą, czy wybuchnie istotnie strejk powszechny w całych Włoszech, gdyż sam zarząd organizacyi socyalistycznej ogólno-włoskiej nie aprobuje strejku, przypisując jego wybuch w Rzymie knowaniom anarchistów, a jeden z posłów socyalistystych wyraził się głośno, że strejk taki jest obecnie szaleństwem. Prawdopodobnie też strejk nie uda się.

W kalejdoskopie lwowskim.

Czem jest u nas ulica?

Ulica jest u nas salonem. Ludzie spotykają się na niej, zatrzymują się, stają grupkami, rozmawiają, poznają się, lub udają, że się nie poznają, emablują się, śmieją i bawią, obgadują się, okłamują, krytykują i mówią komplementy, bo ulica jest salonem....

Ulica jest wystawą. Wystawia się modną toaletę, najnowsze kapelusze, dojrzałe córki, posażne jedynaczki, piękne twarzyczki i brzydkie twarze, brylanty prawdziwe, które udają bogactwo, brylanty fałszywe, które udają, że są prawdziwe, i mnóstwo innych rzeczy, ot, jak na wystawie...

Ulica jest czytelnią. Czyta się u nas na ulicy dzienniki, kupione u kolportera, a czyta się je chodząco i „wjeżdżająco“ w innych przechodniów. Prócz tych ruchomych czytelników gazet, mamy na ulicy przed nalepionym na tablicy dziennikiem czytelników niby w ziemię wmurowanych, tak są zaczytani. A dalej czyta się listy i widokówki, dopiero co odebrane, afisze i kartki wetknięte na ulicy w kułak „gratis“ przez chłopaka lub posłańca, afisze, reklamy, szyldy, zarządzenia, ogłoszenia, edykty, napisy, prośby, groźby, i wszystko co tylko czytać można, jeżeli się nie jest analfabetą.

Uli a jest u nas jadalnią. Obywatel je na ulicy śliwki, jabłka, pomarańcze, winogrona i inne owoce, a już co najmniej gryzie orzechy lub żuje czekoladę i cukierki, przyczem zawsze się oblizuje.

Ulica jest u nas salą koncertową, a rzadziej popisuje się umundurowana muzyka wojskowa, częściej koncertują katarynki i arystony, jeszcze częściej z okien kamienic na ulice wychodzą smętne tony przyszłych śpiewaków, gramofonów, polyfonów i fortepianów, a najczęściej — ale to już po północy — koncert mieszanego chóru nie tyle piano, ile po pijanemu.

Ulica jest handlem. Sprzedaje się i kupuje złote zegarki, stare ubrania, sumienia, przekonania polityczne i t. p. artykuły handlu.

Ulica jest loteryą. Można postawić jedną nogę, a wyciągnąć dwie nogi t. j. jedną połamaną na dwie części lub więcej. Albo: stawiaj nogę, jak chcesz ostrożnie, a zawsze trafisz do dziury.

Ulica jest cyrkiem i terenem wyścigowym. Zapasy atletyczne dorożkarzy, wysiłki ekwilibrystyczne obywateli, usiłujących przeskoczyć dziurę w trotuarze, gimnastyczne skoki podczas deszczu, wyścigi automobilów, mnóstwo klownów, żonglerów...

Ulica jest u nas śmietnikiem. Wszystko niepotrzebne wyrzuca się u nas na ulicę. Jeśli już jakaś rzecz nie ma żadnej wartości dla niego, to nasz obywatel wyrzuca ją na ulicę i daje ją — miastu. A więc przeczytane dzienniki, listy i afisze, łupki i odpadki owoców, niedopałki, ba! stare kapelusze damskie, stłuczoną porcelanę i szkło, stare krawatki, opaski do wąsów, sznurki, kawałki garderoby, pudełka — wszystko to można widzieć na ulicach miasta, bo wszystko to wyrzuca na ulicę miłujący porządek obywatel.

Ulica jest u nas jeszcze muzeum, w którem się widzi ciekawe okazy starych mumij i wypchanych orangutangów; stawem, po którym pływają grube ryby i cienkie płotki; ślizgawką dla ludzi i koni; salonem dentystycznym do łatwego pozbywania się zębów i wszystkiem, wszystkiem jest u nas ulica, tylko najmniej jest u nas ulic a — ulicą.

To i owo.

Z nastrojów wiosennych. Wyszedłszy z biura redakcyjnego, zatrzymałem się bezwiednie na skwerze, na który tak często spoglądam przez okno, siedząc przy pracy.

Słońce, to ożywcze wiosenne słońce, które wszystko budzi do życia nowego po długim śnie zimowym, zalewało plac kaskadą swych z każdym dniem cieplejszych promieni.

Stałem, poddając się z całą rozkoszą działaniu promieni słonecznych.

Nie zwracałem oczywiście zbyt wielkiej uwagi na przechodniów. Szczęśliwi i zadowoleni z losu, który przypadł im w udziale, nie mieli ze mną nic wspólnego — ze mną, którzy mając więcej długów, niż włosów na głowie, znajduje się w nielada kłopocie, skąd dorwać się wszechpotężnej mamony.

Wiosna! Nie długo przyjdzie i lato. Nie dziw więc, że jako głowa domu, wprawdzie napół po kawalersku prowadzonego, musiałem się strapić, usłyszawszy z ust mej żoneczki straszny wyrok:

— Potrzebuję pieniędzy!

— Na co? — ośmieliłem się zapytać cichym głosem, robiąc przytem jaknajczulszą minę.

— Czyż nie czas? Wiosna! Potrzebuję nowej sukni, nowego okrycia, nowego kapelusza, nowej...

Zdębiałem wobec aż tylu nowości, przeciwko których sprawieniu nie mogłem w dodatku ani jednem słowem zaoponować, bo to przecież takie jasne, takie proste, gdy się ma żonę, *ergo* jest się mężem i głową domu...

Myślę więc już trzeci dzień nad tem, skąd wyrwać tych kilka marnych srebrników, by rozjaśnić uśmiechem wreszcie twarzyczkę mej ukochanej...

Aż głowa boli od tych wszystkich planów i kombinacyj, które lotem błyskawicy przelatują przez zwoje mego biednego mózgu — i nic, nic... Rozpacz!

A tu słońce grzeje nie na żarty, jakby uwzięło się na mnie i chciało mnie w sposób najdosadniejszy, poprostu namacalnie, przekonać, że żoneczka miała racyę.

Ha! nie ma co robić, moneta musi być, choćby ją przyszło z pod ziemi wydostać. Ruszam więc na wyprawę po złote runo w stronę, gdzie w blaskach słońca uwijają się ciemne postacie przedstawicieli czarnej giełdy. Wiem, że zapłacę z jakie 50 procent, ale nie ma rady. Żona musi mieć, co się jej słusznie należy...

Obok mnie przesuwa się młoda para — On i ona — rozkochani w sobie tak, że na milę słychać przyspieszone tętno ich serc. Nie dziw — wszak to wiosna...

Z uczuciem politowania spoglądam na nich, a zwłaszcza na niego.

— Nieboraku! — myślę sobie — za rok, o tej porze, nie będziesz ty miał takiej miny, oj nie!...

Bo gadajcie, co chcecie, ale ta kochana wiosna to rzecz strasznie kosztowna. Przekonałem się o tem na własnej skórze — ja... głowa domu. Jakże drogo płacić trzeba za ten tytuł,..

Miro.

Zwierzęca zemsta.

(Do ryciny).

W miejscowości belgijskiej Mollambeck został w tych dniach wysadzony dynamitem w powietrze dom tamtejszego burmistrza. Jak się okazało, był to akt zemsty ze strony socyalistów, których burmistrz naraził sobie przez to, że wydał nakaz zamykania o północy szynków, chcąc w ten sposób położyć kres urządzanym w nich orgiom i bójkom. Jeden z szynkarzy stawił opór rozporządzeniu, skutkiem czego burmistrz kazał go aresztować. Na zbliżających się żandarmów czekali już zawiadomieni o tem robotnicy i przyjęli ich kamieniami i strzałami rewolwerowymi. Wtedy żandarmi dali ognia, od którego padli trupem dwaj robotnicy a odniosło rany kilkunastu. Z zemsty za to socyaliści na drugi dzień w nocy podłożyli bombę w piwnicy domu burmistrza i zapalili ją zapomocą założonego w tym celu połączenia elektrycznego. Na szczęście, nie było wtedy w domu ani burmistrza, ani jego rodziny, gdyż byliby wszyscy padli ofiarą zwierzęcej zemsty socyalistycznej. Dom skutkiem wybuchu został prawie doszczętnie zniszczony. Rycina nasza przedstawia walkę z żandarmami, zakładanie połączenia elektrycznego w piwnicy i sam dom, który uległ zniszczeniu.

Kronika.

Kalendarzyk:

We wtorek 7. kwietnia rzym. kat. Hermana — gr. kat. Błahor. P. Bohorod.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We wtorek „Hugenoci“ opera Mayrbera. Gościnny występ Wernera Alberti, A Didura i Ireny Sołtohub.

We środę po raz pierwszy „Bakcyle miłości“, komedya w 3 aktach Adolfa Walewskiego.

Kobiety w służbie kolejowej. Ministerstwo kolejowe wydało rozporządzenie, normujące stosunki służbowe kobiet, zatrudnionych przy kolejach państwowych. Oprócz dotychczasowej kategoryi manipulantek, zaprowadzono nową kategoryę „oficyantek kolejowych“. Manipulantki pobierać będą płacę dzienną 2 kor. 60 hal. do 3 kor. 20 hal., stosownie do lat służby, co ze względu na małe wymagania stawiane do ich wiadomości naukowych, odpowiadających planowi nauk szkół ludowych, jest płacą dość wysoką. Po pięciu latach zadowalającej służby i po złożeniu odpowiedniego egzaminu służbowego, może zostać manipulantka stałą funkcyonaryuszką kolejową z tytułem oficyantki i płacą roczną 1200 kor., wzrastającą w miarę lat służby do wysokości 1960 kor. Oficyantkami mogą być tylko osoby stanu wolnego lub wdowy.

Zgon lwowianina na obczyźnie. W Medyolanie zmarł onegdaj artysta operowy, Schapira, który występował gościnnie na tamtejszej scenie. Był on synem lwowskiego rytownika, p. Henryka Schapiry, i przed rokiem występował także na scenie teatru miejskiego we Lwowie, poczem wyjechał za granicę dla dalszych studyów w śpiewie.

Z bruku lwowskiego.

Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby los pozwolił mi podzielić się z czytelnikami jakąś wesołą Nowiną. Niestety pragnienie to musi na razie pozostać, bo niestety mam tylko same smutne wiadomości.

Nie wiem czemu — muszę się o to przy najbliższej sposobności zapytać znajomego psychiatry. — Wiosna tak „samobójczo“ usposabia ludzi. Wszakże to wiosna, i to wiosna w całej swej pełni, lada dzień zazielenią się drzewa i murawy.

Nie powinni więc ludzie tracić ochoty do życia, lecz przeciwnie z większą jeszcze, niż kiedykolwiek ochotą iść naprzeciwko tej wielkiej zagadki, jaką jest przyszłość nasza. Tymczasem spotykamy się z objawem, wprost przeciwnym.

Nie ma dnia, by ktoś się nie zastrzelił, nie powiesił, nie skoczył. Z wczorajszego dnia mamy znowu do zanotowania dwa samobójstwa. Oprócz bowiem Bernardyniewicza, który powiesił się no policyi, skoczyła wczoraj z mostu na tor kolejowy, obok dworca kleparowskiego, jakaś młoda kobieta. Nieprzytomną odwieziono ją do szpitala powszechnego.

Oryginalne szczęście mają mieszkańcy kamienicy przy ul. Ossolińskich pod l. 6, ponieważ w ciągu trzech dni wybuchał w tej kamienicy pożaraże dwa razy. Dzisiaj bowiem wybuchł ogień w piwnicy, zajęły się śmiecie. Straż ugasiła ten „niebezpieczny ogień“.

Samobójstwo kapitana. Z Krakowa donoszą: W koszarach obrony krajowej przy ulicy Siemiradzkiego odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu kapitan 16 pułku obrony krajowej, Zygmunt Jeleń. Wyprawiwszy z pokoju usługującego mu żołnierza, rozebrał się i przyłożył lufę karabinu do piersi w okolicy serca, poczem pogrzebaczem poruszył cyngiel. Na huk wystrzału, zbiegli się żołnierze i znaleźli leżącego we krwi kapitana bez znaku życia.

Pierwsze „wywłaszczenie“. W Imielnie przybyło przed kilku dniami 3 przebranych opryszków, jeden nawet w mundurze policyanta, z aktami pod pachą, do gospodarza Nowaczyka i oświadczyli, że go wywłaszczają. Poczęli też spisywać protokół, lecz pomiarkowawszy nasz gospodarz pismo nosem, pod wymówką wpędzenia bydła do obory, opuścił mieszkanie, a wróciwszy wkrótce z potężnym kijem, śmiałych ichmościów utraktował tak sowicie, że w szalonej ucieczce szukali ratunku. „Wywłaszczyciele“ uszli niepoznani.

Polityczne wędliny. Z Czempinia w Prusach donoszą o następującem wypadku. Od lat kilku zjeżdża do Czempinia pewien Niemiec z wędlinami, które z woza swego sprzedaje na targu. W tym roku przybywał na targ także masarz Polak, wskutek czego Niemiec nie sprzedał towaru całego. Niemiec zrobił zażalenie do policyi. W tych dniach rano policyant oświadczył Polakowi, że musi się od Niemca oddalić 14 metrów. Ponieważ tego uczynić nie chciał, więc policyant najął ludzi i usunął go przemocą. Ale Polacy za to Polakowi wykupili wszystek towar.

Wiadomości telegraficzne „Gońca Polskiego“.

Wybuch dynamitu.

Orviedo (w Hiszpanii). W tutejszej fabryce eksplodował nabój dynamitowy, przyczem wiele osób zostało zabitych, a 4 osoby zginęły.

Tajny skład broni.

Łódź. Podczas rewizyi w pewnym domu przy ul. Konstantynowskiej znaleziono rewolwery, naboje i druki nielegalne. Aresztowano 5 osób.

Śmierć pod gruzami.

Londyn. W pewnej ulicy w pobliżu Oxford Street zawaliły się wczoraj dwa domy, w których mieszkało 40 osób. Dotychczas wydobyto zwłoki 2 osób, oraz 14 rannych.

Wielkie sprzeniewierzenie.

Madryt Pewien dzierżawca podatku w w prowincyi Almevia sprzeniewierzył 4,800,000 pesetów i uciekł za granicę.

Strejk powszechny w Rzymie.

Rzym. Strejk słabnie i dziś prawdopodobnie skończy się zupełnie. Miasto ma wygląd normalny. Przywrócono już ruch wozów i tramwajów.

Straszna zbrodnia.

Sewilla. Aresztowano tu pewnego szewca i jego żonę, którzy, jak się okazało, zamordowali w ciągu pożycia małżeńskiego 24 dzieci zaraz po narodzinach każdego, poczem zakopywali zwłoki pod podłogą własnego mieszkania. Podczas poszukiwań, przedsięwziętych z tego powodu przez policyę w mieszkaniu szewca, znaleziono pod podłogą mnóstwo szczątków niemowląt. Gdy prowadzono aresztowanych do więzienia, tłum usiłował odbić ich policyi i zlynczować.

Straszna katastrofa na morzu.

Londyn. Olbrzymie wrażenie wywołała w całej Anglii wiadomość o katastrofie, jakiej uległ podczas manewrów morskich torpedowiec „Tiger“. Katastrofa wydarzyła się podczas gęstej mgły. „Tiger“, który miał zadanie podpłynąć pod linię okrętów nieprzyjacielskich, pędził z szybkością 27 węzłów i wpadł na płynący z przeciwnej strony równie szybko krążowiec „Berwik“. Zderzenie było okropne. „Tiger“ został literalnie rozcięty na dwie połowy, z których przednia w mgnieniu oka znikła w głębiach fal morskich, druga zaś zatonęła w przeciągu coś trzech minut, dzięki czemu zdołała się część załogi uratować. Jak słychać, utonęło 36 marynarzy wraz z komendantem okrętu. Resztę załogi wydobyła z fal załoga „Berwika“. Opinja publiczności angielskiej, zdenerwowanej w każdym podobnym wypadku w marynarce wojennej, jest tem bardziej podniecona, że dzienniki podają bardzo niewiele szczegółów o kastrofie, gdyż władze marynarki zakazały surowo udzielać wszelkich informacyj sprawozdawcom dziennikarskim, dopóki nie zakończy się śledztwo urzędowe.

Dymisya premiera angielskiego.

Paryż. Ag. Hawasa donosi z Biarritz, że król Edward przyjął prośbę prezydenta ministrów, Campbella Bannermanna, o dymisję i polecił wyrazić ustępującemu prezydentowi ministrów żal z powodu jego ustąpienia, zapewnić go o poważaniu króla i przesłać mu życzenia szybkiego wyzdrowienia. Następcą ma zostać kanclerz skarbu, Asquitt.

Represye w Finlandyi.

Sztokholm „Svenska Telegram Bureau“ dowiaduję się z Helsingforsu, że cesarskim manifestem zostaje rozwiązany z dniem 6. bm. sejm finlandzki. Nowe wybory 1. lipca, a zwołanie nowego sejmu 1. sierpnia b. r. Równocześnie pojawił się ukaz, oktrojujący nową ustawę wyborczą do Sejmu.

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: INŻ. HENRYK MACHALSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.

Z DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ", KOPERNIKA 20.